

Posłowie do zbioru Gyllene Tider

„Złote czasy” to metafora czegoś, co minęło, co było dawniej i było dobre, w domyśle – lepsze niż obecnie. To, oczywiście, dla mojego pokolenia, dzieci urodzonych w latach 70. i dorastających w erze upadku komunizmu złuda, bo lata 80. nie były wcale najlepszym okresem. Stan wojenny, bieda, strach przed tym, co nadejdzie i z każdym rokiem rosnące nadzieje, że to, co nadejdzie, jednak będzie lepsze. Oczywiście, jako dzieciaki i nastolatki na wiele z tych spraw nie zwracaliśmy uwagi, wiele postrzegaliśmy przez pryzmat całkiem innej wrażliwości i punktów odniesienia niż dorośli. I oczywiście, z perspektywy czasu, wiele rzeczy się zatarło, zaś nami targa całkiem rozsądna nostalgia – bo kto normalny nie tęskniłby za czasami, kiedy był szczupły, sprawny, wszędzie jeździł rowerem, a po powrocie ze szkoły mógł iść do lasu albo grać na komputerze, zamiast gotować i jeździć na zakupy – albo mniej rozsądna anemoia, bośmy się nakonsumowali popkultury i wydaje nam się, że trochę żyliśmy w amerykańskim filmie. Zresztą kiedyś już o tym pisałem.

Trochę z takiego rozedrgania między jednym a drugim zrodził się projekt, jakim jest *Gyllene Tider*. Gyllene Tider to szwedzki zespół popowy, aktywny w pierwszej połowie lat 80. Jego liderem był – w sumie jest – Per Gessle, który po rozpadzie Tiderów w 1985 roku stworzył z jedną z chórzystek imieniem Marie Fredriksson duet Roxette. Przy czym w Szwecji znają, oczywiście, Roxette, ale bangerem jest Gyllene Tider, które regularnie co kilka lat się reaktywuje, wydaje nową płytę i jedzie w trasę, a potem znów się zwija. Pierwszy raz na GT trafiłem w szwedzkim radiu jakieś 30 lat temu. Polubiłem. Zostało mi. I jak kilka lat temu znów miałem nawrót (zupełnie jak Tiderzy, co się reaktywują co jakiś czas), to pomyślałem, że fajnie będzie tę ich muzykę wykorzystać i napisałem krótkie opowiadanie mocno osnute na tekście jednej z piosenek. Było fajne, więc postanowiłem napisać ich więcej. Konkretnie całe jedno i dwa akapity kolejnego i zostawiłem temat na dobre trzy lata.

No, tak bywa. Były inne rzeczy do skończenia, np. *W cieniu drzew*, które też się bardzo przeciągnęło – nie jest rekordzistą zresztą, mam pierwszy rozdział do sagi fantasy, który leży od lat. I może kiedyś?

Ten zbiór miał być początkowo raczej lekki, wesoły wręcz, swobodny. Takie *Stranger Things* (ale mniej straszne) albo *Dzieciaki na rowerach*, tylko bardziej swojskie i tutejsze. Taka fantazja na temat tego, jak mogłyby wyglądać lata 80. bez tego wszystkiego, co było w nich straszne. Czyli bez komunistów, bez kartek, kolejek, pałowania, skotów na ulicach, sami wiecie. Albo nie. Bez różnicy. Nam to wtedy naprawdę mało robiło. Ale to miały być takie lata 80. z seriali i filmów, żebyśmy mieli to wszystko, czego mieć nie mogliśmy. I miało być fajnie, z puszczaniem oka i w ogóle. Wyszło – jak zawsze. Bardziej nastrojowe, bardziej melancholijne, emocjonalnie rozdygotane i dosadniejsze są te teksty niż pierwotnie planowałem. To moja wina. Ja nawet jak piszę coś komediowego, to muszę sobie sam podstawić nogę. Dopiero jak teraz czytam te teksty, to widzę, ile smutku mi przeciekło z prawdziwego życia do literatury. I chociaż sięgnąłem po alternatywną historię i wręcz otwarcie po hipotezę światów równoległych, to oczywiście wszystkie te światy są w jakiś sposób lustrem naszego, odbiciem – mniej lub bardziej zdeformowanym – świata nominalnego, Ziemi 1218. W biegnących obok głównej fabuły ścieżkach są światy, które się zdarzyły, i światy, które – na szczęście – się nie zdarzyły. Są też te, które mogły – ale niestety nie udało się. Nie jestem jakoś dobry w operowanie wariantami historii, chociaż już się w to bawiłem. Myślę, że te tutaj, z tego zbioru, są na tyle specyficzne i lokalne, że dla większości czytelników pozostaną przezroczyste, podobnie jak mnóstwo tła, które wychwycą co najwyżej

dzieciaki z Mirkowa, Jeziorny, Skolimowa czy Królewskiej Góry. Jest tam też dużo autentycznej radości i wiele prawdy, wiele rzeczy, które się wydarzyły prawdziwym ludziom.

W tym wszystkim jednak, jednocześnie *Gyllene tider* stały się opowieścią o rozdarcu między różnymi światami, między dzieciństwem a dorosłością, o podróży przez przestrzeń liminalną wewnątrz samego siebie. Mam wrażenie, że pisanie o dorastaniu weszło mi w krew od pierwszej powieści. Niekoniecznie o dorastaniu w sensie stricte biologicznym (choć też), raczej mentalnym, społecznym, o dochodzeniu do siebie i odnajdywaniu się w świecie, w którym trudno się odnaleźć. Ten zbiór jest zarówno prywatnym, jak i, tak myślę, pokoleniowym egzorcyzmem, trochę lamentacją nad tym, co nam zabrano – czy też raczej, czego nigdy nam nie było dane mieć, trochę fantazją, jak bajania emigracyjnych poetów gloryfikujących kraj lat dziecińczych. Dla mnie to są, tak jak dla Emmy-Ulriki Fredriksson, dwa różne światy po dwóch różnych stronach Bałtyku, bo teraz, z perspektywy czasu, zdaję sobie sprawę, ile w dorastaniu i szerzej w moim życiu znaczyła tamta Szwecja, w której od dziecka bywałem. Bo od najmłodszych lat, nie rozumiejąc tego i nie widząc szerszego obrazu, miałem okazję poznawać światy z obu stron żelaznej kurtyny, światy z gruntu sobie obce, inne, nieprzystające do siebie.

Nie patrzyłem na to w ten sposób, ale ta dychotomia była dla mnie częścią życia, dorastania, częścią mnie samego. Nikt z moich znajomych nie słuchał *Gyllene Tider*, chociaż wszyscy znali Roxette. Ta różnica w jakiś sposób sprawiła, że jestem tym, kim jestem. I tak, dorastając jednocześnie z polskim punkiem z kasety na uszach w rozklekotanym Ikarusie i słuchając w całkiem innej, odmiennej rzeczywistości, na dachu drewnianej werandy Pera Gessle i jego kolegów z radia *City 107*, wyrosłem trochę rozdarty – bez świadomości tego rozdarcia. Teraz, mając swoje lata na karku, wolny, swobodny, mogący robić co chce, jechać gdzie chce, odwiedzać stare śmiecie w dowolnym miejscu – siedzę przy oknie i widzę znów pustkę przestrzeni liminalnej. Kryzys wieku średniego, bardzo dla mnie łaskawy, w dużej mierze przypomina nastoletni bunt. Z tą różnicą, że ja już się wyszalałem, a teraz tylko muszę sobie co jakiś czas podpowiedzieć, że przecież swoje odwalilem, zamiast się smucić, że już nie odwalam. Przestrzeń liminalna ma to do siebie, że jest tymczasowa. Gdzieś przez nią przecież dojdę. A tymczasem siedzę nad zbiorem opowiadań o wielkiej, spokojnej Polsce, o kraju, gdzie ludzie z różnych stron i kultur zostają przyjaciółmi, gdzie nie ma na ulicach wojska, a dzieciństwo jest bez troskie. Na tyle, na ile bez troskie potrafią oczywiście być nastoletnie dni.

Popłynąłem sentymentalną psychówką na bagna pamięci, wygrzebałem stamtąd lektury, plamy światła, dźwięki, zapachy i kształty. I ulepiłem z tego kolejną wizję. Eskapistyczną – ale nie hurraoptymistyczną, bo nawet w tej lepszej, nieistniejącej wersji świata, smutki i wewnętrzne rozdarcia są te same. Świat, w którym się urodziliśmy, nie istnieje. Nie ma tamtej Polski i nie ma też tej Polski, co być miała. I nie ma już tamtej Szwecji. To tylko powidoki pod naszymi powiekami. Wszystko jest teraz inne i nastąpiła nowa złota era. Chyba nigdy za mojej pamięci nie było tak źle i tak dobrze jednocześnie, jak jest teraz. I jeszcze tylko winyle, bunkry na plaży, borealny las i podmokłe łąki wciąż te same. I zmierzch, chociaż latarnie już białe, nawet nie żółte, co dopiero mówić – zielonkawie. I tam, gdzie nie ma osiedla z wielkiej płyty, ale nie ma też już stert szyn kolejowych, nadal hula po polu wiatr.

Na razie zostało nam, jak śpiewali chłopcy z Halmstad, żyć życiem.

Bartek Biedrzycki